

Jedna zdrada. Jedna obietnica.
I cena, której nie da się cofnąć



MICHAŁ
SMIAŁEK



MICHAŁ
ŚMIAŁEK

© Copyright by Michał Śmiałek & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Katarzyna Krzan

ISBN e-book: 978-83-8166-499-8

ISBN druk: 978-83-8166-517-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Ten e-book jest zgodny z wymogami
Europejskiego Aktu o Dostępności (EAA).

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2026

Świat lubi się czasem zawalić, ale rzadko robi to z własnej inicjatywy.
Zwykle potrzebuje pomocy w postaci błędów. I zwykle je dostaje.
Za błędy trzeba płacić, a daną obietnicę należy dotrzymać.
Zwłaszcza, gdy jest to ostatnia rzecz, jaka ci zostanie.
Bartek popełnił błąd. Bartek złożył obietnicę.
Pytanie, kto za to wszystko zapłaci?

W tragicznym wypadku Bartosz Sannicki traci wszystko.
W jednej chwili jego rodzina, staje się przeszłością.
Czy aby na pewno wszystko przepadło? A co z obietnicą daną synkowi?
Zemsta nawet na chwilę nie ogranicza się do bycia przelotną myślą.
Staje się sensem, celem, przeznaczeniem.
Wszystkim.

*Mamie i Tacie.
Wiecie dlaczego.*

CZĘŚĆ 1

WSZYSTKIEGO
NAJLEPSZEGO I PAPA

- Ale dlaczego tak się dzieje?
- Bo los gorąco pragnie, byś podążał
śladem Własnej Legendy.

Paulo Coelho, *Alchemik*

1

Ponownie położył jedną rękę na myszce a drugą na klawiaturze.

Nożeż krówka mać.

Nie potrafił zebrać myśli i umiejscowić ich pod sklepieniem czaszki.

Zerknął na telefon.

Cisza.

Dobrze.

Miniony tydzień był wyjątkowo paskudny. Jeśli jego życie było usłane różami, to raczej nie płatkami, a łodygami pełnymi kolców nasączonych czymś żrącym.

Sam był sobie winien. Wiedział to. Wiedział też, że świat wciąż się kręcił, nawet za jego plecami. Co niekoniecznie napawało optymizmem.

Póki co w biurze panował gwar jak zawsze w piątkowe popołudnie. Ludzie krzżeli się bardziej nerwowo niż zazwyczaj, usiłując za wszelką cenę pozamykać rozpoczęte zadania. Ktoś kogoś wołał. Gdzieś wyły drukarki. Gdzieś było słycać nerwowe śmiechy. Pomieszczenie typu open space w biurze DFE (Design For Everyone) z pewnością nie służyło koncentracji. Szklane boksy, jakie zajmowali nieliczni w firmie, pomagały tylko odrobinę.

Leżący przy lewej ręce Bartka Sannickiego telefon zadrżał dwukrotnie, przesuając się po równinie biurka w stronę kubka którejś tam niedopitej czarnej kawy. Wiadomość. Życzenia urodzinowe? Raczej nie. Bez odrywania oczu od

monitora wiedział, kto do niego pisze. Zbliżała się godzina szesnasta. Koniec pracy. A wtedy miała w zwyczaju kontaktować się z nim Justyna. Ostatnio robiła to codziennie. Ale od tygodnia jej wiadomości pozostawały bez odpowiedzi. Bo jak rzucasz wódkę, lepiej nie wchodzić do baru. Nawet jeśli chcesz się tylko odlać. Albo zapytać o drogę.

Bartek potrzebował całej swojej siły, żeby nie spojrzeć na telefon. Prawdę powiedziawszy powinien był już dawno zablokować jej numer. Teraz czuł jak niewidoczne sznurki ciekawości ciągną i obracają jego głowę. Oczy wciąż miał utkwione w ekran laptopa, ale twarz opadała w dół i w lewo. Spojrzał:

„TGZ OTCZ?”

Tam gdzie zawsze. O tej, co zawsze? To było hasło. Takich wiadomości miał na telefonie dziesiątki. Uzbierało się ich przez ostatnie miesiące. Powinien je wykasować, zwłaszcza że to już miał być koniec tej przygody. Prawda? Taką podjął decyzję i choć podjęcie jej przyszło lekko, to już wytrwanie w postanowieniu było prawdziwą walką. Walką, którą Bartek toczył od kilku dni za każdym razem między nadejściem wiadomości a dotarciem do domu i przywitaniem się z Moniką i Szymkiem. Wtedy było już pozamiatane, ale te kilkadziesiąt minut (niech diabli wezmą wynalazcę gdańskich korków) stanowiło batalię między silną wolą i uczciwością a wspomnieniem ciepłego i zachłannego ciała Justyny. Małe bitwy w wielkiej wojnie. Każda wygrywana ledwo, cudem i w ostatniej chwili.

Był kwadrans do czwartej, a Sannicki wiedział, że nic już tego dnia nie działo. Nic konstruktywnego. Praca projektanta

drogowego wymaga obecności przy wykonywanym kontrakcie. Obecności umysłowej przy służbowym komputerze wewnątrz akwarium, które z racji stażu i stanowiska mógł okupować jak prywatną wyspę na biurowym morzu chaosu. A po tym jak telefon zabrzączał, jego myśli uleciały do pomieszczenia nad restauracją Justyny, gdzie miała gabinet, a zapach eleganckich perfum przeplatał się z nie zawsze cichym pojękiwaniem leżącej na biurku kobiety. Zawiesił się na wspomnienie gwałtownych spotkań, w czasie których nie tracili nawet czasu na to, żeby się do końca rozebrać.

Po TGZ OTCZ, Bartek docierał na miejsce, nie mając pojęcia, czego się spodziewać. Justyna nie była typem wyuzdanej wariatki. Żadne świństwa, żadne gadżety czy przebieranki. Ale wielokrotnie pokazała mu, że wie, czego w danej chwili pragnie.

– Chcę tylko, żebyś mnie pieprzył. – Tak powiedziała za pierwszym razem.

I taki był układ. Rzadko rozmawiali, ale z tych krótkich konwersacji dowiedział się jednego. Justyna nie chce związku czy emocjonalnego zamieszania. Nie ma na to czasu i nie lubi samowolnie wystawiać się na zranienie. Chce się poświęcić pracy, prowadzeniu restauracji odziedziczonej po ojcu. Ale ma swoje potrzeby. Nadal jest przecież kobietą.

I to jaką kobietą!

Do niedawna na każde wezwanie odpowiadał „OK”, po czym pisał żonie o spotkaniu, naradzie, szkoleniu, pilnej robocie i tym podobne kłamstwa. Romans był oczywiście

tajemnicą. Nawet jego najlepszy przyjaciel Tadek nic nie wiedział. Zwłaszcza on. Co dziwne, póki wszystko trwało w najlepsze, nie czuł obaw, że zostanie przyłapany. Wszystko szło dobrze, gładko. A ta odrobina niebezpieczeństwa, jaka wiązała się z romanssem, dodawała mu pieprzu. Choć wiedział, że nie ma szans, żeby Monika przyłapała go z inną, zawsze towarzyszył tym skokom w bok drobny dreszczyk.

Teraz, kiedy podjął decyzję o zerwaniu z Justyną, miał nieodparte wrażenie, że jeśli choć raz opuści biuro później niż o szesnastej, w domu będzie go czekała awantura, łzy, rzućcie talerzami i zarzuty o bycie niewierną świnią.

Szesnasta zero jeden – ona już wie.

Paranoja.

Powinien jej wszystko wyjaśnić. Nie żonie, lecz Justynie. Nie było powodów, żeby dodawać Monice zmartwień. Uważał, że przyznanie się do winy w takiej sytuacji byłoby tylko przerzuceniem części cierpienia na niewinną osobę. Monika była szczęśliwa, realizowała się jako matka i nie miał prawa niszczyć jej świata. Nawet jeśli to ona niechcący pchnęła go w to wszystko.

Co innego Justyna. Ona zasługiwała chociaż na to, żeby wiedzieć, że to koniec. Bartek nie miał jednak odwagi się z nią spotkać i powiedzieć w oczy, że nie chce jej już więcej widywać.

Po pierwsze nie byłoby to prawdą, bo wciąż pociągała go do granic możliwości. Jak zapach unoszący się ze świeżo otwartej paczki papierosów przyprawia o szybsze bicie serca nałogowego palacza w czasie kolejnej nieudanej próby

rzucenia, tak myśli o kochance nie tylko nie dawały mu spać, ale czasem przyprawiły o przyjemne napięcie w spodniach. Tak. Seks z nią stał się jego obsesją. Świetnie wychodziło im to, co razem wyczyniali, a apetyt rósł w miarę jedzenia. I urósł tak bardzo, że dla Sannickiego przestało to być „tylko pieprzeniem”. Stało się nałogiem, który z czasem zaczął mylić z głębszym uczuciem. A może nie mylić?

Justyna musiała się chyba czegoś domyślać, bo w czasie ostatnich spotkań zauważył, że przygląda mu się jakoś inaczej. Wnikliwiej. Z początku miał wrażenie, że ocenia jego ciało. Spojrzał wtedy w lustro i szybko stwierdził, że raczej nie dała mu wysokiej oceny. Miał już lekko zaokrąglony brzuch i wciąż szczupłe nogi i ramiona. Widać było początek końca jego młodzieńczej sylwetki.

Skoro jednak domyślała się, co jest grane, to czemu nadal usiłowała się z nim skontaktować? Czemu mu to utrudnia? Czemu nie jest konsekwentna i nie traktuje tego tak przedmiotowo jak się umówili?

Szesnasta zero dwa.

Telefon znów zawibrował.

Bartek odruchowo spojrział.

„Proszę” – głosiła wiadomość.

Kurwa...

Zakręciło mu się w głowie. Poczul wewnętrzną słabość i chęć pojechania do niej. Tłumaczył sobie, że nie po to, by się z nią kochać, tylko by porozmawiać i wszystko wytłumaczyć. Ale wiedział jednocześnie, że jeśli ona wykona choćby jeden zapraszający gest, zanurzy się w niej i znów utonie.

Nie.

Nawet bez jej nalegania i tak będzie chciał się z nią kochać.

Nie!

Skierował myśli w stronę Szymona. To on był przyczyną zmiany. Nie Monika, nie rosnące uczucie do Justyny i wiążący się z nim strach, tylko jego malutki synek Szymon. Ten mały, czteromiesięczny berbeć, który odebrał mu żonę i namieszał w życiu, zrobił najprostszą rzecz na świecie. Uśmiechnął się do taty. I tym samym zniszczył porządek rzeczy. W tej samej chwili Bartosz zrozumiał, że musi i chce poświęcić wszystko, co posiada i kim jest, tej jednej małej osobce.

Trzymał go wtedy na rękach i z tańczącymi pod powiekami kroplami szczęścia wyszeptał:

– Ty jesteś najważniejszy. Zawsze będę cię chronił i walczył o ciebie.

W pierwszej kolejności musiał zakończyć romans i przynajmniej spróbować zbliżyć się do Moniki. Jeśli to drugie okaże się niemożliwe, będzie wiernie przy nich trwał, byle tylko zapewnić Szymonowi życie w normalnej rodzinie.

Zadanie wydawało się proste. Aż przyszła kolejna wiadomość od Justyny.

2

Bartek pakował laptop. Dyrektor właśnie przechodził przez biuro, głośno tłumacząc jakiejś kobiecie strukturę firmy i układ pomieszczeń. Radośnie, jak nigdy, witał się z tymi pracownikami, których jeszcze tego dnia nie widział. Co niektórych przedstawiał prowadzonej kobiecie, a ona podawała rękę, potakiwała, mówiła coś i dalej cicho szła tuż za nim, trzymając dłonie splecione z przodu. Dostrzegł jej drobne palce, a kaskada kręconych blond włosów w pierwszej chwili wyprowadziła go z równowagi.

Kobieta wyglądała jak Justyna. Nosila podobny, elegancki szary komplet składający się z mini spódniczki i marynarki. Miała podobne włosy. Podobne smukłe nogi. Choć wydawała się niższa i poruszała znacznie skromniej. Nie tak pewnie. Jak szara myszka odziana w zbroję bizneswoman.

Wzmozona na moment praca serca szybko wróciła do normy. To nie Justyna. Wprawdzie wiedziała, gdzie pracuje, ale nie podejrzewał, żeby mogła się zjawić i narobić mu kłopotów. Dla niej był przecież tylko obiektem do pieprzenia.

A jeśli nie?

Nie-Justyna zaśmiała się, co usłyszał mimo piątkowego gwaru. Było w tym śmiechu coś znajomego, ale nie mógł odgadnąć co.

Spojrzał na zegarek. Sześć po czwartej. Wyrzuty sumienia na widok układu wskazówek rozszalały się na dobre.

Wiej stąd, bracie.

Wtedy zauważył, że hałaśliwa para kieruje się w jego stronę. Z daleka zobaczył twarz kobiety i poczuł, jak cała

krw z niego odpływa. W żadne konkretne rejony ciała. Po prostu znikła. Krok po kroku do biurka Bartka zbliżał się dyrektor Zawadzki, czterdziestopięciolatek z nieudolnie skrywaną nadwagą, oraz trzydziestoosmioletnia kobieta o gładkiej twarzy, skromnym uśmiechu i błękitnych oczach. Tak błękitnych jak tropikalne morza z pocztówek.

Znał ją. Studiowali razem. To była Ania Tych. Dawna miłość Bartosza, którą utracił, bo poszedł w niewłaściwą stronę.

– Cześć, Słoneczko – odezwała się, zanim dyrektor zdążył cokolwiek powiedzieć. – Kopę lat.

Wciąż miała ten sam lekki głosik – nieco nosowy, ale jednak słodki. Uśmiechnęła się.

– Wy się znacie? – wypalił Zawadzki, kiedy Bartek miał się odezwać.

Wybiło go to z rytmu, bo właśnie miał rzucić coś zabawnego, żeby zaimponować Ani.

– Tak – powiedział w końcu. – Jeszcze z uczelni.

Miał nadzieję, że dawna „koleżanka” nie wyczyta z jego twarzy, że myśli właśnie o tamtej feralnej chwili. I że po tylu latach wciąż jest mu wstyd. Choć do końca nie wiedział, czy słusznie.

– Dobrze znów cię widzieć. – Nie odrywała wzroku od jego oczu.

Robiła to dość intensywnie, żeby rozbudzić w nim nadzieję na drugą szansę.

– Pani Ania zacznie u nas pracę od poniedziałku – wtrącił się znów dyrektor. – Pomyślałem, że przez pierwszy miesiąc lub dwa, w ramach wdrożenia, pomoże ci przy twoich zadaniach.

Sannicki zamarł. Tego było za wiele. Na domiar złego w kieszeni znów zadrział telefon. Wyjął go automatycznie i zerknął, choć w ostatniej chwili uświadomił sobie, że nie chce widzieć tej wiadomości.

„Wracasz już? My jesteśmy na spacerze”. Na szczęście to była Monika.

Spojrzał na zegarek, było już kwadrans po. Wyrzuty sumienia wybuchły w nim jak wulkan. Zakręciło mu się w głowie, jakby naprawdę został przyłapany na gorącym uczynku.

Absurd.

Szybko się otrząsnął.

– Przepraszam – rzucił nieco zbyt nerwowo. – Muszę wracać do domu. Pogadamy w poniedziałek.

Ruszył.

– Jedno pytanie. – Zawadzki go zatrzymał. – Słoneczko?

– To moja ksywka ze studiów – wyjaśnił. – Od słowa „sun”, z angielskiego „słońce”. Sun – Sannicki. A teraz przepraszam, ale naprawdę się śpieszę.

– Wszystkiego najlepszego – dodała Ania, kiedy już odchodził.

– Dzięki – rzucił przez ramię, mile zaskoczony, że pamiętała.

Wybiegł do auta.

3

Musiał stamtąd uciec. To nie był pośpiech związany z powrotem do domu. A przynajmniej nie tylko to. W biurze zrobiło się zbyt gęsto od natłoku problemów i kłód, jakie los rzucił mu pod nogi, wszystkie niemal jednocześnie. Monika, Justyna i Ania. Czyli z kobietami jednak są wyłącznie problemy? Ale czy nie on sam o wszystkie się prosił?

Rzucił gwałtownie teczkę z laptopem i papierami na tylną kanapę Volkswagena. Wsiadł i drżącą ręką włożył klucz do stacyjki. Zanim uruchomił silnik, położył obie dłonie na kierownicy, oparł się na nich czołem i spróbował uspokoić oddech. Znowu rozboleła go głowa, kark miał napięty jak struny gitary i poczuł lekkie nudności. Ostatnio coraz częściej zdarzała mu się taka kombinacja.

Twoje ciało mówi ci, że masz trochę zbyt wiele na bani. To wszystko.

Przekręcił kluczyk i oparł głowę o zagłówek. Było trochę lepiej, ale nieznacznie. A wiedział, że pulsowanie po lewej stronie czaszki, bolesne, jakby prześlizgała się tamtędy jakaś tłusta skolopendra, samo nie przejdzie. Potrzebuje tabletek. Dużo tabletek. Musi się położyć i rozluźnić. Ale na to zasłużył za co najmniej czterdzieści minut. Musi przejechać przez pół Gdańska. I wydostać się na jego wschodnią stronę, a w piątek po południu wymaga to cierpliwości ponad miarę. Ruszył. Spróbował skupić się na jeździe, ale myśli wciąż błędziły wokół tego samego zagadnienia. Czy to naprawdę wszystko jego wina?

Monice oświadczył się mimo wewnętrznych obaw. Od zawsze była jego zdaniem przesadnie religijna. Sądził, że uda mu się to zaakceptować. I chyba nawet w pewnym stopniu jakoś przyzwyczał się do niedzielnych wyjść do kościoła, odmawianych (tu już bez jego udziału) różańców, wiszących na ścianach krzyżyków. Nawet wytrzymał do nocy poślubnej z ich pierwszym razem. Wcześniej oczywiście robili dużo rzeczy, z których z pewnością następnego dnia Monika biegła się wypowiadać, ale może właśnie to pchnęło go do szybkich oświadczyń. Tymczasem tłumaczył siebie, że ujęło go w niej matczyne ciepło, którego życie mu poskaپیło. Matka alkoholiczka zostawiła go rok po odejściu ojca pijaka. Miał wtedy cztery lata. Nic z tamtych czasów nie pamięta. W jego głowie od zawsze wychowywała go Maria Sannicka, jego babcia. A kiedy i ona odeszła, ściągnięta w zaświaty mocą wylewu, został sam jak palec. Z dalszą rodziną nie utrzymywał kontaktów. Co do rodziców – nie wiedział nawet, czy żyją, i miał to głęboko.

Justyna? No cóż. Można by pomyśleć, że ten romans to zasługa Moniki. Ale przecież Bartek nie zrobił zupełnie nic, żeby zaistniały stan rzeczy naprawić. Czy choć raz porozmawiał z żoną o swoich uczuciach i potrzebach? Nie. Popłynął z prądem. Biernie przeżywał swoje małżeństwo samemu wędzając się w rolę piątego koła u wozu. Czy był w stanie przyznać się przed sobą do błędu? Wziąć na siebie winę? Nie. Nie otwarcie, choć w głębi wiedział, że dał ciała. I mimo że żadna z dróg nie była przed nim zamknięta, żaden most spalony, to nie wykonał nawet gestu, który mógłby naprawić prozę jego

życia. Zamiast tego przespał się z nieznajomą, a potem przez kilka miesięcy regularnie odwiedzał ją na piętrze restauracji, ani razu nie czując wyrzutów sumienia. Tak było łatwiej. A teraz jest ciężko.

Co do Ani – historia miała się zupełnie inaczej. Tutaj spieprzył po całości.

Do wspomnień tamtego wieczora od dawna nie wracał, choć długo go to prześladowało. Dopiero po studiach, w prawdziwym dorosłym życiu udało mu się jakoś pogodzić z tym co zrobił, a raczej czego nie zrobił. Teraz, kiedy Ania znów pojawiła się w jego życiu i to na dodatek tak blisko, cały wstyd powrócił. Bo ona pamięta. Oj, z pewnością pamięta.

Ryk klaksonu wyrwał go z zamyślenia. Ktoś za nim mocno się niecierpliwił i Bartek szybko zorientował się dlaczego. Zielone. Wrzucił bieg i skrócił dystans do samochodu przed nim, a jednocześnie uniósł rękę w geście nieszczerych przeprosin kierowcy jadącemu za nim.

Spłynął na niego cały ogrom zmęczenia, jakie kumuloowało się w nim przez ostatnie dni. Nieustannie walczył ze sobą, ale teraz miał wrażenie, że jedynie odsuwał problemy w kąt, a te w końcu przybrały formę tsunami i zwały się na niego z łoskotem. Ból głowy eksplodował z nową mocą i targnęła nim silna potrzeba wymiotów. Stłamsił ją i spróbował uspokoić się, myśląc o bieżących czynnościach, prowadzeniu auta i muzyce z radia.

W kieszeni zabrzczczał telefon. To mogła być Monika, może z listą zakupów albo coś. Robał pod czaszką podpowiedział mu jednak, że to Justyna. Nudności gwałtownie się wzmożyły,

ale Bartek zdążył zatrzymać samochód, jednym szarpnięciem otworzyć drzwi i wychylić się na zewnątrz. Kiedy malował asfalt mieszaniną kawy i kanapek, kierowca za nim znów dał koncert na jeden klakson. Olał go, splunął resztką wymiocin i ruszył dalej. Głowa huczała dziesięciokrotnie bardziej niż przed minutą. Mimo to wyciągnął telefon z kieszeni.

„Wszystko ok?” – to była Justyna.

Kurwa mać!